Ner 29. Kraków 23 października 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel drezdeński i F. Baumgardtena w głównym rynku.

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Czechy i Polska w XV wieku.

Wspólny interes swobody i wolności a nie przemoc orężna tworzy dziś siłę związków narodowych. Chasłem ludów sławiańskich w XIX wieku może być tylko federacja, federacja zrodzona pokrewieństwem ducha, uniwersalnym interesem całéj sławiańszczyzny w obec wpływów obcych i żywiołów wynaradawiających ale nie znosząca celów narodowości pojedyńczych, jakie w łonie wieków się wyrobiły, nie ograniczająca autonomii ludów. Tak tylko pojęta federacja, przynosząca korzyść dla całości i części, może zyskać sobie prawo bytu, i być siłą łączności ludów jednoplemiennych. Idea więc panslawistyczna podniesiona przez Moskwę jest anachronizmem, jest niezręcznym krokiem ku złudzeniu pobratymców i uwikłania w sieci despotyzmu, jest niezgrabną pokrywką dążeń zaborczych Moskwy, nihilizującą autonomię plemion sławiańskich narzucaniem schyzmy, języka, despotyzmu — jest uogólnieniem caratu.

Idea panslawistyczna nie jest nową — poczęła się ona już w łonie wieku VII, nosząc na sobie charakter materjalnéj przewagi, siły brutalnéj właściwéj duchowi wieku. Już Samo, rodowity sławianin, za czasów króla frankońskiego Dagoberta, pokonawszy tego ostatniego, założył państwo sławiańskie między r. 627 a 662, a więc w wieku VII ery chrześciańskiéj, a granice jego władztwa to Odra i Elba z jednéj, a Małopolska i Sosnowe góry (Fichtelgebirge) nad Menem z drugiéj strony, a Osoliński twierdzi nawet, że panował nad całą zachodnią sławiańszczyzną a zatem i nad Litwą. Po śmierci tego pierwszego bohatera sławiańszczyzny — przez półtora wieku wszystko śpi, a obok powstaje cesarstwo.—Karol Wielki szerzy swe zdobycze aż po Wisłę. Słabnie cesarstwo po śmierci Karola Wielkiego, a myśl sławiańska państwowa objawia się w całéj swéj sile u Morawian i złączonych z nimi niczém nie różniących się Słowaków. Rządcą Moimir r. 818, a stolicą Nitra. Ludwik Niemiecki gruchocze jego potęgę, ale nie niszczy ducha organizacyjnego, silnie rozwiniętego u Morawian. Roku 848 występuje energiczniejszy jeszcze Ratysław: uwalnia on swój kraj od wassalstwa względem Niemieckich cesarzów, a Czechy i Serby garną się do niego. Żyje Wielka Morawa, całą piersią żyje, bo oto trzeci z rzędu podnosi się organizator, Swiatopełk. Przewyższa on swych poprzedników, rządami swemi obejmuje Małopolskę, Ruś Czerwoną, Szląsk na południe po Dunaj, na pół-



KOŚCIÓŁ W ŁAZANACH.

noc po Magdeburg. Jest i cywilizacja, mają pismo, alfabet św. Cyryla (kyrylica). Drobne księstewka, boć inna forma państwowa, nawet w głowie Karola Wielkiego nie powstała, co niegdyś składały cesarzowi, to oddawały do skarbnicy Światopełka na potrzebę obrony przeciwko germanizmowi. W wieku X występuje z tą dążnością w całéj sile Lechia — jéj bohaterem Bolesław Chrobry — on podbija Czechów i Rusów poddnieprskich, nadmorskich Sławian, pogańskie Prusy, i tworzy olbrzymie państwo zachodnio-sławiańskie, sięgające granicami swemi od Dniepru aż do Elby, ze wschodu na zachód, a z północy na południe od morza Baltyckiego do Dunaju. Wszystkie te związki ludów tworzyła siła i olbrzymia myśl jednostek, skoro ta ustępowała i dzieła jéj upadały. Ze śmiercią Bolesława szerzy się germanizm z zachodu a ze wschodu rusyfikacja. W XI wieku występuje Brzetysław I czeski, żywi on w sobie myśl sławiańszczyzny uniwersalnéj, ale również jak poprzednicy niewłaściwą ku temu celowi drogę obiera. Podbój nie jest jednoczeniem ludów, to też usiłowania jego skończyły się tylko na najazdach na sąsiednią Polskę. Emulacja Polski z Czechami podniosła się za Krzywoustego ale upadła z jego testamentem i odpadnięciem Szląska. Rozćwiertowana nie wzbudzała obawy. Wśród zamętu i niezgód Piastów podnosi się tymczasem Czechia za rządów Sobiesława II, co pilnie zwraca uwagę na podniesienie ludu i zyskuje miano króla chłopków. Otokar I nadaje państwu swemu powagą na zewnątrz zyskaniem korony królewskiéj od papieża, zwraca pilną uwagę na podniesienie dobrobytu krajowego, wprowadza prawo Magdeburskie. Za rządów Wacława Czechy urosły do potęgi groźnéj i odnoszą zwycięstwo nad Mongołami pod Ołomuńcem r. 1241. Otokar II organizuje reprezentację narodową, w sejmach górę bierze większość głosów. Za Wacława II następuje połączenie się dynastyczne tak spotężnionych Czech z Polską małżeństwem tego króla z Ryxą, córką Przemysława r. 1300. Jestto pierwszy związek dwóch narodów jednoplemiennych, oparty na wolnéj wzajemnéj ugodzie. Niema tu siły, gwałtu, przemocy, ale jest wspólne połączenie swych interesów. Jestto pierwsza federacja ludów sławiańskich, która trwała lat tylko 6. Odtąd dwa państwa samoistnie się rozwijają. W Polsce panuje daléj dynastja Piastów, a w Czechach rozpoczyna rządy dom Luxemburski w osobie Jana. Dom ten rości sobie pretensje do korony Polskiéj, ale już między Janem, starającym się o koronę cesarską Niemiecką i Kazimierzem W. stanął traktat wyszogrodzki (r. 1335), a z Karolem IV królem czeskim i cesarzem niemieckim a Kazimierzem W. najzupełniejsza zgoda panuje. Stosunki przyjazne dwóch narodów występują w całéj swéj sile. Polacy jeżdżą do Pragi na uniwersytet założony przez Karola IV, nawzajem wielu Czechów przybywa do Polski dla szukania karjery w różnych zawodach, rodziny polskie i czeskie osiedlają się nawzajem w dwóch krajach, do czego wspólność plemienna, która jeszcze wybitniejszą była aniżeli dzisiaj, pomagała. Wspólność rasowa przenikała we wszystkich kierunkach objawy życia dwóch narodów, nie dorosłych jeszcze do indywidualizmów wybitnych. Gdy dodamy do téj wspólności rasowéj wspólność interesów obrony przeciwko wpływom germanizmu, to nic łatwiejszego nie było jak federacja dwóch narodów sławiańskich. Na tę drogę pchnął Czechy pośrednio przez swoją naukę Jan Huss. Zanim jednakże o nim mówić będziemy, zwróćmy się na Wschód.

W X wieku stoi tam w całéj sile państwo Waregów. Wprawdzie rządy obce, ale materjał budowy państwowéj żywioł sławiański. Trzy stolice zmieniane różnemi czasy, Nowogród, Perjasławiec i Kijów niby słupy graniczne potęgi Rusów, zajmują ogromną przestrzeń ziemi między dwoma morzami. Ale Opatrzność dziejowa zasiała w ludności sławiańskiéj uczucia i myśli zdążające do samodzielności, a téni samém stawiła nieprzepartą różnicę z despotycznemi zachcianki zaborczych przybyszów. Upadła potęga Rusów nad Dnieprem i powędrowała za lasy, jak mówi Lelewel, wybrawszy sobie za gniazdo Włodzimierz nad Klazmą w XII wieku, a późniéj Moskwę. Moskwa ta młoda mięsza się z pierwiastkiem mongolskim, przejmuje się organizacją despotyczną Azji; zrywa z cywilizacją zachodnią, a tém samém i z Rusią przeddnieprską, która unią Florencką połączyła się z kościołem zachodnim i wbrew dziejowemu porządkowi faktów, wedle którego sprawy ludzkości regulowały się walką władzy świeckiéj z duchowną. Carat skupia w swych rękach dwa motory ruchu narodowego.

Anomalium to historyczne wywołało fakt jedyny w dziejach ludzkości, cofania się na drodze cywilizacyjnéj, potworność ducha organizyjnego caratu, stanęła niżéj zastoju właściwego Azji. W skutek tego tylko cofania się, znoszącego wszelką możebność postępu, wylęgła się w łonie caratu myśl panslawistyczna, która począwszy się w VII a upadłszy w XIV w., nie przypadając już do rozbudzonego ducha u ludów sławiańskich, ducha swobody i pragnień autonomicznych, zamarła bezpowrotnie. — „Dziecko odrodne Rusi, stworzone z żywiołów obcych, sprzecznych i nieprzyjaznych duchowi sławiańsko-ruskiemu, przemawia językiem sfałszowanym, przyodziewa się mianem bądź Rusi, bądź sławian, aby snadniéj bratnie ludy połknąć. Jestto państwo osobne, nieprzyjazne, odrostek wykrzywiony. Może on w bliskich pokoleniach rzeczywiście duchem sławiańskim i ruskim odetchnie, obali samodzierżski caryzm i zbrata się z ludami, którym dotąd pęta przynosi.“ Ale zbrata się z słowiańszczyzną nie na drodze panslawistycznéj, lecz pojęciem swobody, wolności i poszanowaniem autonomii pobratymców, czego jedynym wyrazem może być tylko federacja ludów sławiańskich. Zrozumiały Czechy ten panslawizm despotyczny Moskwy, dość wcześnie uwalniając się z sideł propagatorów caratu — a danem było, by Polska najdokuczliwiéj

uczuła tę miłość współplemienną Moskwy. Powtarzamy więc, że panslawizm jest wyziewem cuchnącym zgnilizną więzienną kazamatów, zrodzony w łonie barbarzyństwa i przemocy w wiekach średnich, niema dziś prawa bytu, a propagatora mógł tylko znaleźć w despotycznéj Moskwie. — Upadł on już w XIV wieku, a jednocześnie pojawiła się inna forma federacyjnie oparta na wspólności interesów i na wzajemném poszanowaniu tych interesów, a objawiła się po pierwszy raz w stosunkach między Polską i Czechami w XIV wieku. Wzgląd ten rzuca ogromne światło na stosunki ówczesne Czechii hussyckiéj i Polski katolickiéj ażebyśmy go mogli we wstępie opuścić — teraz zaś przystępujemy do właściwego zadania niniejszéj pracy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PUSTY DOM.

(Dokończenie).

Gwar, szczebiot rajski! Złotowłose plemię
Ciągnie za suknie, wdzięczy się i mili,
Ojcze! o! matko! szczebioce i kwili,
Aż anioł Pański zstępuje na ziemię,
I każdą główkę w sny różane pęta,
Boby zakrzyczéć się mogły pisklęta!

Bóg się narodził! Gwiazdka wieść przyniosła,
Więc uczta święta, a przy uczcie gwarnie,
Drobiazg do ojca, do matki się garnie,
Czekają wszyscy na dobrego posła,
A poseł z nieba przyjdzie: — dziaduś siwy
Już przyszedł; — drzwi się otwarły — o dziwy!

Jasno! złocisto! a zabawek tyle!
Drużyna śmiechem radosnym wybucha,
Biegnie skrzydlata, o! czekajcie chwilę —
Pierwéj paciorek . . . dziaduś niech wysłucha,
I klękły drobne sznurkiem koło siebie,
Szepcąc: Ojcze nasz, ty któryś jest w niebie.

O tak Ojcze nasz! Ojcze! gdyby więcéj
Słowa nie było, to do Twojéj chwały
Ten jeden wyraz pieszczoty dziecięcéj
Mógłby wystarczyć i za pacierz cały!
Ojcze nasz! Ojcze! O daj ty mi, Panie
Usłyszéć: ojcze! i niech mi się stanie
Sąd i skaranie!

. . . .

Jak pusto! Ściany poczerniały smutnie,
Bezsenne łoże patrzy się ponuro,
Białe lewkonie, schylone pokutnie
Proszą o słońce, a Tyś nakrył chmurą;
Dom mój sierocy i język mi suchy —
Do podniebienia przywarł, bólem głuchy!

Otom jest Panie, jak żeniec, co w znoju
Od rannéj zorzy chylał się do mroku,
I miał w naczyniu kropelkę napoju,
I żął, — a słońce gdy zasło w obłoku,
Tedy się schylił i pochwycił z ziemi
Naczynie z wodą, ale puste było!
Żar mu je wypił usty spieczonemi.

Władysław Ordon.

PENSJONARKA.

Powieść ***Marka Wowczka*** (pani Markowicz).

przełożył z ukraińskiego **P. Stachurski.**

VII.

Powoli, powoli wszystko panienka przerobiła na swoje — życie i gospodarstwo.

— Porzuć że, porzuć babuniu pończochę! Czy to u nas nie ma robić komu? . . . Kto przyjdzie, a babcia zawsze z pończochą, jak sługa, albo najemnica . . .

— Przykro mi bez roboty! — odpowiada stara.

— Weź babciu książkę i czytaj.

— Co mi po książce! . . . Już nie te oczy!

— To tak zostań, babuniu! bez pończochy, moja najdroższa! Wolisz mi oko wykłuć tym drutem!

— Dobrze już, dobrze . . . Uspokój się.

Rzuci stara pończochę, i nudzi się. Ubrała ją panienka w czepek ze wstążkami pstrokatemi, i posadziła na krześle pośród pokoju. Przyjadą goście; ona gotowa, wita. Staréj już świat niemiły; a panienka cieszy się: Jak miło, babuniu! jak lubo! jak pięknie i roskosznie! . . .

VIII.

Nas dziewcząt, jak byłyśmy, posadziła do haftu. Sama uczy, a co chwila przybiega czy pracujemy? Na obiad idziemy, to ona chmurzy się i gniewa . . . A daléj co dnia, bardziéj złą się staje. Już i łaje; czasami uszczypnie albo da szturchańca . . . i sama poczerwienieje jak pąs, zawstydzi się. Ale to póki się nie przyzwyczaiła . . . Poznałyśmy późniéj co to złe na świecie!

Bywało, przyjdę ją ubierać, to czego się od niéj nie wycierpię! Zaplatam włosy, nie tak! Znowu rozplotę i splatam, znów nie tak! Tak przejdzie ranek cały . . . Ona mnie i szczypie, i szturcha, i grzebieniem mnie drapie, i szpilkami kole, i wodą oblewa . . . co już ona nie dokazywała nad moją głową biedną!

Pewnego dnia spodziewano się wojskowych z miasta. Podwórze zamietli jeszcze z wieczora, pokoje ubrano jak na Wielkanoc. Usiadła panna do czesania . . . Biedaż ty

moja! Wolałabym gorących węgli nabrać do ręki, aniżeli tumanić koło jéj kosy *rudéj!* (blond). I taka i owaka! i pójdź precz, i chodź tu znowu! i popycha mnie, i naskakuje, ażem się przelękła! A krzyczy, hałasuje, nogami tupie, tupie . . . a w końcu jak zapłacze! . . . Ja do drzwi, a ona za mną! na ogród! „Ja ciebie w sztuki rozerwę! zaduszę cię, gadzino!“ Spojrzę ja na nią, stała się taka straszna, że nogi zachwiały się podemną . . . Ta, jak mnie schwyci za szyję oburącz! ręce chłodne jak węże! Chcę krzyknąć, oddech mi zatamowało . . . powaliłam się koło jabłoni . . . a dopiero chłodna woda przywróciła mi zmysły. Patrzę, dziewczęta zeszły się koło mnie, białe jak kreda . . . . Panienka rzuciła się na stołek, płacze . . . a stara stoi nad mą głową, i tak mnie łaje . . . taka rozzłoszczona, aż jéj gęba zczerniała! . . .

— Coś ty narobiła, ladaco! Jak ty śmiałaś panienkę rozgniewać! . . . Ja cię na Syberję zeszlę! ja cię życia pozbawię!

A pannę uspakaja: „Nie płacz, nie płacz, mój aniołku! łez twoich ona niegodna. Jeszcze zachorujesz, strzeż Boże! . . . Widzisz, rączki chłodniusieńkie! . . . Dość już, dość, gołąbko! Na co się sama narażasz? . . . Mnie powiedz, co ci nie po myśli! . . .“

— A tobie, ladaszczyco! (znów swarzy się na mnie) a tobie, będzie!

I nie wiem, jak mnie druga biéda ominęła, że nie byłam bitą! . . . Dlatego zapewne, że byłam bardzo osłabioną, więc pani tylko mnie nogą kopnęła, i kazała zaraz dziewczętom zanieść do chaty.

Dziewczęta podjęły mnie i poniosły; a w chacie tak i padły koło mnie, płacząc: „Guściu, serdeczna! biedna twoja godzina i opłakana... Matko Boża! za co przyszło na nas takie nieszczęście! . . .“

IX.

Przez całą wiosnę pojono mnie świeżém mlékiem, zanim nieco przyszłam do siebie. Leżę sama, wszyscy na pańszczyźnie; leżę i wciąż myślę sobie: Takie młode, a takie niemiłosierne, Boże!

W chacie chłódek i cisza, ściany białe i nieme; ja sama z moją duszą. Wietrzyk powieje i przychyli mi do okna gałązkę bzu pachnącego. Z południa, gorący promień słońca rzuci przez chatę jasną, drżącą wstęgę... jak ogniem mnie obleje. Duszno mi, senno, a snu nie ma! I tak zawsze sama, sama jedna z memi dumkami — jak żyć na tym świecie! ... Rada byłam, Boże! jak rada! gdy zaszumi sadek, świat zciemnieje i dészcz spadnie rzęsisty . . . Ot słyszę: coś zatupocze . . . śmiech wesoły, głosy ... zgraja dzieci posypie się do mojéj chaty. Wesołe, czerwone dzieciaki, witają mnie, opryskują dészczem, pną się do okna, niecierpliwe: kiedy ten dészcz ustanie? Spiewają, wyhukują.

„Zijdy, zijdy soneczko!	Wzejdź-że wzejdź słoneczko!
Na popowe połeczko,	Na księdza poleczko.
Na babyne zilleczko,	Na babine ziółko,
Na nasze podwirjeczko!“	Na nasze podwórko.

Skoro słoneczko wyjrzało z za chmury, tak i wymiotło je z chaty! A mnie długo jeszcze, długo słychać gwar: to w tym kąciku, to w tamtym . . . jak gdyby dzwonił kto w srebrne dzwonki.

Późnym już wieczorem wracają ludzie z pańszczyzny, zmęczeni spieszą słoneczną i ciężką pracą. Wszczyscy milczą, chyba który westchnie ciężko, albo zaśpiewa zcicha smętnie, smętnie . . .

Czasami niespodziewanie która z dziewcząt przybiegnie ze dworu.

— Guściu! gołąbko!

— A co się tam u nas dzieje? siostrzyczko! zapytam.

— Chodź nie pytaj, Guściu! — odpowiada. — Źle! Dziś Handzię bito, wczoraj Paranię, a jutro zapewne na mnie koléj . . . Oh, serce! żeby choć tam nie opatrzono się jeszcze za mną! Oh Guściu! biéda nam sierotom!

— O mnie — nic?

— Gdzie zaś! „Czemu nie przychodzi do swéj roboty? Co ona się pieści, jak pani z Basani?“ Tak! gdy chciałaś wiedzieć . . . Oh, zasiedziałażem się . . . Bądź zdrowa, Guściu!

X.

Pewnego poranku leżę ja i romyślam, wtém wbiega Kasia:

— Idź, idź prędko, Guściu!

— Dokąd iść?

— Do panienki, do pani! . . . Ta żywo-ż bo, Guściu! Posłano mnie po ciebie, byś szła *natychmiast.* Panienka poskarżyła się pani na ciebie, że zupełnie jesteś zdrową, ale nie chcesz służyć, pracować... Chodź-że bo, chodź!

— Jakże iść, Kasiu! gdy nie mogę stanąć na ziemi.

— Ja ciebie doprowadzę, gołąbko! Zdźwignij się, by ci jeszcze gorszego licha nie zaznać. Chodźmy, chodźmy!

Ledwie dowlokłam się do budynku. Na progu spotkała mnie panna.

— Co się pieścisz? Czemu nie idziesz na służbę, ladaco ty! Poczekaj, ja ci taką karę wymyślę, żeś podobnéj ani widziała, ani słyszała!

A krzyczy, Boże! aż się zasapała! Szturka mnie, za rękaw ciągnie . . . Głowo-ż ty moja! Jak ona odziczała! jak okropną zrobiła się ta jéj twarz piękna!

Na ten krzyk i pani nadejść nie omieszkała, daléjże mnie łajać! Jeszcze groziła biciem. A my, Bóg łaskaw, nie doznawalyśmy od niéj tego, póki nie było panny . . .

Zaczęły się téż u nas codzienne ekzekucje, płacz codzienny. Czy która się uśmiechnie (uśmiechano się przypadkiem!), panna biegnie do staréj „Babuniu! mnie nie poważają! . . .“ Czy która zapłacze: „Babuniu! nie dość

że nic nie robią, ale jeszcze płaczą!" I na wszystkich tak ujada, tak ujada — to nieszczęście nasze! — A stara złości się, morduje nas — młody wiek ohydziła!

XI.

Tyle i odetchnienia bywało, gdy zjadą się goście panicze... zapomni o nas panienka. Wyjdzie do nich, szczebiocze jak ptaszyna, uśmiechnięta, luba... i co to? ani poznać!... A już jak ci panicze koło niéj!... Ten z nią ręka w rękę chodzi... ten z kąta świéci na nią oczyma, ten jéj kroki liczy, tamten z boku wzrokiem obejmuje... A ona między nimi zwija się jak przepióreczka!...

— Który to z nich wpadnie w łapkę? — bywało mówimy pomiędzę sobą. — Pozna nieboże: licho poczemu?

Z początku starą panię bardzo ci goście cieszyli, ale jak zaczęły się pomiędzy nimi kłótnie, stara nu myśleć i rozmyślać... Już im i nie rada; ale się pozbyć trudno! Najeżdża się ich rój, a każden chce uśmiechu panny, spojrzenia — dla siebie tylko... Obraża jeden drugiego, kłucą się, gryzą między sobą...

Zaczęła ich już pani (za oczy) *psami* nazywać... Aż jakoś nad jesień przyszedł los panienki - i dalejże od niéj wszyscy rozsypem! jedni wstydząc się drugich!

XII.

Poznał się z panną lekarz pułkowy, i zaczął bywać co dnia. Taki był cichy, spokojny, łaskaw na każdego, i do panicza nie był podobny! A jak się z nią poznał? Dawno już opowiadali goście panience, naopowiadać się nie mogli jaki ten lekarz pułkowy piękny! Brwi ma czarne, usta rumiane, wzrostu słusznego — taka piękność, że ani opowiedzieć! Tylko, że bardzo dumny; na żadną nie spojrzy, nie przemówi, choćby jak się starała!

Panienka, słysząc to, bywało często mówi do staréj: Jakby babuneczka tego lekarza do nas zaprosiła, chciałabym go obaczyć!

A stara bywało na to: Moje dziecko, nagadali ci te niedouki i chwalcy, a ty uwierzyłaś... Wielkie rzeczy — lekarz pułkowy! To nędza, hołota! Poco ci znajomość z takimi?...

— Chcę go tylko obaczyć, babuniu! Czy w istocie jest takim, jak go opisują?

— Niech go tam! jeszcze się przynęci... I tak już dość się koło ciebie zwija, a żaden się nie oświadcza. Jeden drugiemu szkodzi, kłucą się — bodaj was wydusiło!

Jak się staréj nie chciało; a panna, jakby na pniu stanęła: lekarza! i lekarza! Więc pierwszych odwiedzin musiała stara prosić naczelników wojskowych, by ze sobą lekarza przywieźli. Ci zgodzili się natychmiast.

— Przywieziemy! przywieziemy! — powiadają.

— A kiedyż panowie nas odwidzą? — pyta panna, kręcąc się tędy, owędy i w oczy im patrząc, jak młoda liszka. — Czy prędko?

— Gdy pani taka łaskawa, więc pojutrze będziemy służyć - mówią goście, niby podlatując na nogach.

I odjechali, radzi, że głowa nie cięży!

XIII.

A! wystroiła-ż się panna tego dnia, prześlicznie! Stara się chmurzy i wciąż burczy: Na licha się nam przydała ta hołota!

Panienka jakby tych słów nie słyszała.

Stara mści się tém tylko, że nas przygniata.

Przyjechali wojskowi, a lekarza niema. „Dziękuje — powiadają — za łaskawe zaproszenie, ale czas ma zajęty, leczy wielu chorych."

— I, nie odrywajcie go panowie od zajęć — powiada stara. — Niechaj leczy z Bogiem!

Panna tylko poczerwieniała i zakąsiła wargi.

Byłoż nam, gdy goście odjechali!... Odcierpiałyśmy za wszystko!

W tymże samym tygodniu zachorowała panna. Jęczy, stęka, krzyczy. Stara przelękła się, płacze... szle po lekarza. A pułkowy, powiadają, dobrym jest lekarzem, i mieszka najbliżéj — po niego!

Tymczasem panna ubrała się jak najpiękniéj, i leży w łóżku jak malowana — czeka.

Przyjechał on, popatrzył, rozpytał się... A ona to! i główkę skłoni, i mówi, nie mówi — śpiewa!...

Zabawił godzinę i żegna się: „Będę służyć jutro!..."

Stara pyta wnuczkę. Wnuczka zamyśliła się... na jéj pytania tylko chwianiem głowy odpowiada. A gdy stara zapytała: „Cóż lekarz? jak go znalazłaś?" to ona zadrżała: „Dumny, powiada, dumny jak pan wielmożny... I co on sobie myśli!..."

Leczy, leczy ten biedaczysko, i zakochał się. Panna pokochała go także.

Poznali zaraz panicze zkąd wiatr wieje? obaczyli odrazu co, i już-taj znikli!

Starsza pani ledwie głową o mur nie bije; ale nie poradzi!...

— Gdy mi babuniu będziesz stawiać przeszkody — umrę! I nie gniewaj się, i nie perswaduj napróżno! zmiłuj się, babuniu!

Stara téż dała pokój; tylko stęka.

XIV.

Opustoszało pańskie podwórze: konie nie tupoczą, nie huczą kolasy. I panienka bardziéj cicha: nie łaje, nie bije, nie oskarża. Wciąż siedzi zadumana — myśli...

Bywało, jak tylko słońce nieco się podniesie, lekarz pędzi parą koni. Panienka już oczekuje przy oknie, piękna, ustrojona, rumieni się jak kwiat maku.

On żywo wbiegnie, która z nas nawinie mu-się podówczas: „Jak się masz dziewczyno! A panna?“

Bywało, cały dzień zabawi. Wciąż siedzi przy panience, na krok jéj nie odstąpi. A starsza pani to przez te drzwi wyjrzy, to przez tamte, i słucha: co oni tam mówią sam na sam? A taka ją złość zbiera, że są zawsze z sobą . . . Rozłączyć nie sposób! i ona lękała się wnuczki!

Już się on oświadczył panience.

Stara płacze i martwi się wielce:

— Spodziewałam się wydać cię za księcia, za bogacza, za jaśnie wielmożnego?

— Oh, Boże ty mój! — krzyknęła panna, płacząc.— Gdyby on miał pieniądze i tytuły, chwili-bym się nie wahała; byłby moim dawno! Kiedy już taki los mój nieszczęśliwy, takie moje przeznaczenie gorzkie! . . .

— Albož to nie ma piękniejszych nad niego? — nie śmiejąc już odmawiać, a tak niby pytając, przemówi znów stara.

— Dla mnie nie ma piękniejszego na świecie całym! nie ma, i nie będzie!

Posmutniała panienka, aż zbladła i zmizerniała. Stara oszalała całkowicie, nie wié na którą ma stąpić nogę! Napomknie, by nie szła za niego . . . wnuczka gniewa się i łzami zalewa . . . Chce cieszyć: „Pobierzecie się“ wnuczka los swój przeklina.

— To mnie Bóg pokarał! — mówi — I nie wiem jak temu nieszczęściu zaradzić! . . .

Spostrzegł to narzeczony, troska się:

— Co to jest? Co znaczy ten smutek?

— Ja smutną nie jestem . . .

— Powiedz mi całą prawdę, powiedz! — prosi, ręce jéj całuje.

— Pobierzemy się — mówi do niego. — A jak żyć będziemy? Biednie! . . .

— To cię martwi, moja droga! Po co nam bogactw, dostatków, gdy życie będzie szczęściem, gdy los nam sprzyjać będzie? . . .

— Ty o mnie nie myślisz? — wymówki mu robi. — A miło ci będzie, gdy kto do nas przyjedzie, i będzie wyśmiewał: Ot, żyją, biedują . . . — I zapłacze.

— Serce-ż ty moje! Cóż mi począć ubogiemu? zkąd wziąć bogactw i dostatków? Nie myślałem o tém od urodzenia . . . a dziś pragnę wszystkich roskoszy dla ciebie, mój aniele! Lecz cóż pocznę? . . . Radbym — powiada — nieba ci przychylić, lecz się nie chyli! . . .

I zaczną się tak martwić oboje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr. — („Uriel Acosta“ tragedja *Gutzkowa*. — „Polowanie na męża“ komedja *Bałuckiego)*.

Zauważano powszechnie, że w ciągu ostatnich lat 10-ciu zepsuty gust publiczności, nie pozwalał dyrekcjom teatrów w całéj prawie Europie wprowadzać na scenę tragedji i dramatów, a lubował się w samych tylko wodewilach, tak zwanych possach i w banalnych a często bezczelnych, li tylko na dekoracyjnym efekcie opartych fraszkach.

Od pewnego jednak czasu nastąpiła dodatnia reakcja, a najlepszym dowodem szczęśliwszego zwrotu, jest bezwątpienia ta wymowna okoliczność, że w Paryżu, zkąd właśnie zepsucie smaku po całéj rozlewało się Europie, scena zajęła bardzo poważne stanowisko.

Nie mówimy już o niezmiernym powodzeniu komedji tendencyjnych, znanych i na naszéj scenie, ale o tym niesłychanym, prawie modnym napływie widzów na przedstawienia takie np. jak „Patrie“ tragedja p. *Sardou* w teatrze *Porte St. Martin*, „La Lucrèce“ tragedja p. *Ponsard'a* w *Odeonie* i „Julie“ dramat p. *Feuilet'a* w *Comédie Française.* — Każda z tych sztuk dawaną była sto kilkadziesiąt razy bez przerwy, i za każdą razą o miejsce dobijać się trzeba było.

U nas postępu tego jeszcze nie widzimy, a publiczność, zwłaszcza część jéj zasiadająca w lożach, nieobecnością swoją dowodzi — że oparta na uprzedzeniu niechęć do widowisk poważnych, do odbierania silniejszych wrażeń budzących głębsze myśli i głębsze zastanawianie się nad życiem, dotąd jeszcze silnie jest zakorzenioną.

Uwagi te nasunęły się nam mimowolnie podczas przedstawienia jednego z najlepszych utworów dramatycznych *Gutzkowa* p. t.: „Uriel Acosta“ przyswojonego naszéj scenie pięknym bardzo tłumaczeniem p. *Bołoz-Antoniewicza.*

Treść téj tragedji oparta na prawdzie historycznéj, i równie umiejętne jak interesujące przeprowadzenie akcji dramatycznéj, nadają dziełu temu znaczenie, którego najbardziéj nawet stronna krytyka osłabić nie zdołała.

Manasse van der Straten (pan Janowski) bogaty żyd i przemysłowiec z Amsterdamu, posiada niezmiernie piękną córkę *Judytę* (p. Nowakowska) zaręczoną wbrew woli młodemu bogaczowi *Ben Jochajo* (p. Wolański), którego poślubić nie chce, ponieważ kocha byłego swego nauczyciela, głęboko uczonego *Uriela Acostę* (p. Rapacki). Szlachetny Uriel nie chce stać się przyczyną domowych nieszczęść i zamierza wyjechać do Niemiec, lecz w chwili stanowczéj zrobiony mu przez Synagogę proces o herezją, zatrzymuje go w Amsterdamie. — *De Sylva* (p. Wolski) uczony lekarz, wuj Judyty ma dzieła jego osądzić. Sąd wypada nieprzychylnie, i w chwili uczty w domu Manassy zjawiają się Rabini, aby wykląć obecnego tam Uriela. Na wezwanie ich odstępują wszyscy nieszczęśliwą ofiarę ciemnoty, odstępuje ją także po krótkiéj ale gwałtownéj walce Judyta, tak bowiem każe stary ojciec i wiara. Z ust rabina *de Santos* (p. Ładnowski) wylewa się na głowę Acosty okrutny potok przekleństw, lecz wzmaga do tyla miłość Judyty, że ta wyrwawszy się z przejętego zgrozą grona familii i gości, rzuca się na łono wyklętego kochanka, którego nieszczęścia zwyciężyły wszystkie jéj skrupuły, przed któremi w innych okolicznościach byłaby niewątpliwie ustąpiła.

Pyszna ta i pełna prawdy scena, stawiająca miłość kobiety na piedestale idealnéj potęgi, jest tu szczytem dramatycznéj budowy całego dzieła, sytuacje łamać się zaczynają, a chaos i rozkład nastąpić musi.

Judyta odniosła wielkie zwycięztwo nietylko nad krępującemi ją względami, ale nad ojcem, ten bowiem zezwala na połączenie córki z Urielem, jeżeli on od klątwy uwolnić się potrafi.

Uwolnić się z pod klątwy, jest to połączyć się z ukochaną Judytą, jest to wynagrodzić ją za ten ogrom ofiary, którą dla niego w chwili upadku spełniła. Uwolnić się z pod klątwy można tylko przez upokorzenie się i odwołanie. — Uriel nie bluźnił ani Bogu, ani zasadom religii; przeciwnie, w obronie praw Boga i prawd religii powstawał przeciw ogłupiającemu massy fanatyzmowi i zabobonom, które kapłani dla utrzymania potęgi swéj i wpływu podsycali i rozsiewali — przed nimi więc którymi gardził, miał się upokorzyć i odwołać to, co za świętą uznawał prawdę!

Straszna walka jaką już przebył, obowiązki względem Judyty i błagania ślepéj staruszki matki *Estery* (p. Ekerowa) sprowadzają w piersi Uriela taki chaos, że niepomny na wyższéj natury obowiązki, idzie do synagogi, depcząc po drodze prace przeszłości i samego siebie.

Czyż bezkarnie?

Czyniąc przygotowawczą do odwołania pokutę, nie wié Uriel że matka jego umarła, a zrujnowany na giełdzie Manasse ojciec Judyty popadł w moc Ben Jochaja, który za cenę ręki Judyty zobowiązuje się ratować ojca. Judyta poświęciwszy się już raz dla kochanka, poświęca się teraz dla ojca. Wyszedłszy z synagogi po upadlającém odwołaniu, trafia Uriel na wesele Judyty. — Poświęcenia obojga ich poszły w niwecz, zabita w najtkliwszych swych uczuciach Judyta i zabity we własnéj godności Uriel dalszéj racji bytu nie mają — proces ich wewnętrznego rozkładu przebywa stadjum ostatniéj fermentacji i kończy się śmiercią.

Uratowawszy ojca przez poślubienie Jochaja, którego rzeczywistą żoną być nie chce, pije Judyta truciznę i kona na rękach Uriela, ten zaś wystrzałem z pistoletu wymierza sobie karę za czyn, który sprawiedliwość ludzka uprawnia.

Gra artystów naszych nie zostawiła jak zwykle nic prawie do życzenia. Pan *Rapacki* zgłębił do dna charakter Uriela i oddał go w najdrobniejszych detalach znakomicie. Ucharakteryzowanie jego, głos i ruchy przedstawiały nam w każdym, najdrażliwszém nawet położeniu, silnego wewnętrznie i pewnego siebie męża, który gwałtownemi wybuchy i miotaniem się żadnéj nie zdradza słabości. — Delikatne to wykończenie tém więcéj godne jest podziwu, że pan R. grywając często role rubasznych szlachciców, nadętych mieszczan i wykwalifikowanych demonów, w każdéj z nich właściwą skalę utrzymać potrafi, i z jednéj do drugiéj nie przenosi intonacji. — Pozwalamy sobie tylko zwrócić uwagę p. R., że silne akcentowanie ostatniéj sylaby, tak stosowne dla Radziwiłła i p. Walentego, nie odpowiada zupełnie ani Moorowi, ani Urielowi, ani żadnéj silnie tragicznéj roli.

Podobne uznanie należy się także pani *Nowakowskiéj*, rolę bowiem Judyty odegrała po mistrzowsku, a wiele rzeczy, których autor nie pozwolił jéj powiedzieć słowami, wypowiedziała akcją muskułów i grą pięknych swoich oczów. Miło nam także zanotować tu postęp jéj w naturalności i rozsiewaniu tego miłego ciepła, które nie parzy a przecież na wskroś przenika. Sądzimy, że jéj już pod tym względem więcéj zarzutów robić nie będziemy zmuszeni.

Treść komedji pana *Bałuckiego* „Polowanie na męża“ i wyborna gra naszych artystów z typem p. *Hoffmann* powszechnie są znane, powtarzać się zatém nie będziemy. Korzystamy tylko ze sposobności, aby przypomnieć niepospolicie utalentowanemu autorowi, że publiczność nasza i scena na nowe jego utwory z upragnieniem oczekuje, i że przyjmie je z tym większą wdzięcznością i tym większym uznaniem, jeżeli obok prawdziwego dowcipu i trafnych spostrzeżeń na jakich panu B. bynajmniéj nie zbywa, nie umieszczą się pewne dość rubaszne wyrażenia i niemiła szorstkość formy, która utworom p. B. niemałą czyni ujmę.

Niezwykłe zdolności i zasługi młodego autora, dają mu prawo do publicznego szacunku i uznania, lecz obowiązują go zarazem do uczynienia zadość wymogom wyższego świata, którego dokładna znajomość jest niezbędnym warunkiem dla powieściopisarza i dramaturga.

O...le

---

a. δ. **Kronika.** — *Miłe złego początki, lecz koniec żałosny. — Koncert w Krakowie — publiczność zimna — słówko do niéj — Karmelek panny Anieli zbawia ludzkość. — Podobno o założeniu szkoły dramatycznéj we Lwowie.*

Pokazuje się, że jakkolwiek życie parlamentarne u nas zaledwie w powiciu, nie brak nam na talentach, a niezawodnie mielibyśmy ich (talentów) nierównie więcéj, gdyby nie kodeks karny, który na domiar nieszczęścia wszystkiego co może urość kiedyś do potęgi gieniuszu, ma swoje paragrafy o potwarzy publicznéj. — Jestto w naturze naszych retoryków, improwizatorów, że kiedy ich zapał uniesie, przechodzą zwykle atmosferę umiarkowania, a budzą się z entuzjazmu dopiero wtedy, kiedy na ławie oskarżonych zabraknie im argumentów — na poparcie obiecywanéj słuchaczom prawdy. Bowiem dzieje się podobno często i w ten sposób, że nie wszystkiego dowieść można co się z trybuny ludowéj rzuci . . .

Gdyby sądy wierzyły bezwarunkowo na *słowo honoru*, ręczę, że niedługo musielibyśmy poczciwszych od nas zapisywać z zagranicy. Szczęściem, dzieje się to inaczéj.

A ponieważ sami zalecamy czytelnikom naszym ten piękny aksjomat, aby dużo wiedzieć a mało mówić — poleciwszy go również naszym ludowym mówcom, przechodzimy do porządku dziennego naszéj kroniki.

Na pierwszym planie stoi koncert pana Stysińskiego. — Wierzcie mi piękne czytelniczki „Kaliny„, że gdyby nie

obawa bym waszych delikatnych nerwów nie rozdrażnił za bardzo, maczałbym pióro moje w żółci, a odezwę do publiczności krakowskiéj zacząłbym od wykrzyknika w kształcie zygzowatego pioruna. Dosyć, kiedy wam powiem, że na koncercie wysłużonego weterana sceny polskiéj, sławnego śpiewaka, ulubieńca niegdyś publiczności; — zaledwie kilkadziesiąt osób się znalazło.

Widać, że pogarda do wszystkiego co *swoje* weszła nam w krew i serce, — i aby zentuzjazmować nas, potrzeba koniecznie hyen i lampartów afrykańskich, albo przynajmniéj chińczyków.

Gdyby nie karmelek od panny Anieli, który mam w ustach pisząc o tém, byłbym pełen żółci i goryczy. Karmelkowi więc panny Anieli niechaj świat zawdzięcza że nie dowiedział się jak czarną jest niewdzięczność — i jak brzydko nie mieć serca tam, gdzie go rzeczywiście potrzeba.

We Lwowie podobno ma się utworzyć szkoła dramatyczna. Byłaby to instytucja bardzo pożądana u nas, gdzie dramat na scenie nieraz komiczniéj wygląda od saméj komedji — nie mówię tu o Krakowie. — Na kierującego szkołą powołano podobno pana Rychtera, a i pan Deryng mógłby tam zająć pożyteczne dla uczących się miejsce.

W Krakowie użalają się ogólnie na brak mieszkań, gdy tymczasem jest ich do zbytku. — Nawet *Giełda* tutejsza, straciwszy podobno kapitały, ratować się chce spekulacją czynszową, i odnajmuje *dwa frontowe pokoiki* za cenę *Stu* guldenów na kwartał!!! Ten który oprowadzał interesanta, zaręczał mu że to wcale *nie drogo!*

Korespondencja „Kaliny.“

Panu **P — Z.** Chętniebyśmy zrobili, gdyby w naszéj mocy było uwierzyć w to — co panu w *marzeniach się śniło.*

Panu **L. H.** we Lwowie. — Manuskrypt zwracamy.

☛ Do dzisiejszego Nru dołączają się Listy zwrotne „**Djabła**“ dla prenumeratorów zamiejscowych *galicyjskich.*

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Wiślna, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa,** należy przesyłać wprost do Redakcji.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*